

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży

Adres Redakcji Warszawa, ul. Trębacka 11.

WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie: rocz. rb. 4, półrocz. rb. 2, kwart. rb. 1. z dodatkami rocz. 6.40, półrocz. 3.20, kwart. 1.60. Za odosobienie dopłaca się 10 kop. kwartalnie. Z przesyłką pocztową w granicach państwa: rocz. rb. 5, półrocz. rb. 2 k. 50, kwart. rb. 1 kop. 25.

Z dodat. rocz. 7.40, półrocz. 3.70, kwart. 1.80. Za granicą: w Austrii 14 kor., z dodat. 21 kor. rocz. W Niemczech 12 m. z dodat. 19 m. rocz.

WARUNKI OGŁOSZEŃ:

2 i 3 strona wiersz 1 szp. k. 20 w tekście nadesłane " " " 50

Prenumeratę najlepiej nadsyłać pocztą wprost do Administracji Krakowskiej - Przedmieście 64 w Warszawie księgarnia „Polaka - Katolika”.

Można jeszcze opłacać „Wieczory Rodzinne“ za kwartał I.

TREŚĆ NUMERU:

Wróg czy obrońca, przez Wł. Nidecką.
Dom dla uczniów (z 1 ryc.)
Niewidoma, przez Marię Poraską.
Krzyż Legji honorowej dla awjatorki (z 1 ryc.)
Lady Scott (z 1 ryc.)
Dobra rada, przez Adę Koneczną.
Nigdy, przez Z. Morawską.
Nad Złotym Rogiem, przez Stanisława Belzę (z 1 ryc.)
Tajemnica starego zamczyska, (przez Koneczną).
Najtańsza ryba, przez Świerszcza.
Wisła, przez Kazimierza Rydzewskiego.

Luźne kartki, przez Kurpiankę.
Jak Janek i Marylka spędzili wakacje, p. Ciembroniewiczza.
Skrzynka do listów.

DZIAŁ DLA DZIECI:

Dobranoc ci, aniele, przez Władysława Belzę.
Przez obawę śmieszności, przez Świerszcza.
Z powinszowań, przez Kurpiankę.
O dwunastu zbójcach i nabożnym kmiotku.
Budrys, przez Marię Kaczkowską.
Mróz i ogień.



Rocznica.

Dnia 6 b. m. obchodzono w państwie Rosyjskiem 300-tną rocznicę powołania na tron księstwa moskiewskiego dynastji Romanowów. W całym państwie odbyły się obchody uroczyste. Magistrat warszawski asygnował na szkoły elementarne miejskie imienia Romanowów, rubli 100,000. Z racji jubileuszu ukazał się manifest, darujący i skracający niektóre kary za przewinienia w tej liczbie i prasowe. Gabinet otrzymał szereg depesz z pozdrowieniami: od prezydenta Poincarégo, króla Alfonsa hiszpańskiego, rządów serbskiego, bułgarskiego i greckiego.

Cło na robotników zagranicznych

chciał by nałożyć jakiś mądrąla hakatystyczny, licząc po 150 marek na głowę, aby z funduszu, jaki stąd powstanie, utworzył nowe osady dla robotników niemieckich. Niemcy byłyby jedynym państwem na całym świecie, któreby zaprowadziło cło „na ludzi“, tak jak się zaprowadza podatek od psów lub kotów. Sami Niemcy wyśmiewają się z tego pomysłu, wylęzo-

nego w głowie jednego z posłów niemieckich w sejmie pruskim.

Zbrojny pokój.

W całej Europie zaklinają się rządy państwowe, że wszystkie dążą do utrzymania pokoju, a równocześnie wszędzie zbroją się na gwałt, jak gdyby jutro miała wybuchnąć ogólna wojna. Wszędzie panuje gorączkowe zaniepokojenie nad rzeczami, które wiszą w powietrzu, a których nikt nie zna i nie widzi. Austro-Węgry są zmobilizowane, Belgja, Francja i Anglja zbroją się, Niemcy chcą wyciągnąć miljardy z kieszeni opodatkowanych, na pomnożenie siły zbrojnej. Nad głowami narodów zawisło coś groźnego, co nie pozwala wierzyć w pokój, mimo wszelkich zapewnień. Na bałkanach jeszcze grzmiały armaty i losy wojny dotąd niezdecydowane. Wszędzie niepewność i zaniepokojenie o to, co przyniesie jutro. My spokojnie oczekujemy tego jutra, bo wiemy, że ono jest w ręku Boga, który kieruje losami ludzi i narodów.

Opowiadanie Mani.

! SZARADA.

ulożyła Emilja Rychter.

Gdzie *pierwsza trzecia* chodzi tam oto,
(Mój *pierwszy pierwszy* i *druga druga*)
Biegłam raz sobie rażno, z ochotą,
Gdy w tem podbiega do mnie nasz sługa.

— Panienko! — woła — tam biegać zdradnie;
Druga i *trzecia* jest tam, śród trawy,
Uwaga! proszę, bo się upadnie
I taki koniec będzie zabawy...

Zwolniłam kroku, chociaż nierada;
Sługa jest przy mnie i mówi z cicha:
— Tam są i strachy... raz coś tam gada,
To znowu szepcze, jęczy i wzdycha...

Po nocach *czwarta* i *trzecia* biała
Błąka się tutaj po całej łące,
Drugie, rok będzie może bez mała,
Szła raz i w *trzecie drugie* wstające...

Nie jam to widział, lecz pan Damazy;
Drugie wspan, potem oddzielnie *czwarte*,
Prawdziwe szczęście spotkał pięć razy,
Gdy szedł tą dróżką w pola otwarte...

— Co on też prawi, że tu coś straszysz?
Spojrzawszy w koło myślałam sobie;
Prześliczna *wszystka* na krańcu paszy!
Przyjdę tu kiedyś i szkic z niej zrobię.

Rysunek w części oddać ją może,
Wiem; zdejmę też z niej i fotografię;
Wszystkich mych starań tutaj dołożę,
A gdy się staram — wiele potrafię.

Nowe bogato illustrowane dzieła

Stanisława Bełzy.

1. Obrazy i obrazki Indji

Cena rs. 1, k. 50

2. W Ojczyźnie Faraonów

Cena rs. 2

Do nabycia

we wszystkich księgarniach.



NIE POMÓGŁ I ON.

(Marchoń).

Turcja do Enver-beja. — Mówiłam ci, że stary mój kort nie wytrzyma!
Wylókłeś mnie trochę w górę, teraz zato spadnę z większym hukiem.

Wieczory Rodzinne

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY.

WRÓG, CZY OBROŃCA.

Widzisz, mawiał mi starzec, łąki nadbrzeżnej kobierce,
Już je piasek obleciał. Widzisz te ziola pachnące,
Czołem siłą się jeszcze przebić śmiertelne pokrycie,
Ale daremnie. Bo nowa znowu nasuwa się hydra,
Białe pletwy roztacza, lądy żyjące podbija
I rozciąga dokoła dzikiej królestwo pustyni.

Temi słowy Adam Mickiewicz maluje w poemacie swoim „Konrad Wallenrod” walkę pogańskich litwinów z krzyżakami, z tymi kłamliwymi i zdradzieckimi „Rycerzami Marji” co najpierw nieledwie na hasło Lutra Marji się zaparli i protestantyzm dla wygody osobistej przyjęli. Lecz całe dzieje walki Niemców ze Słowianami pogańskimi w tych słowach dają się streścić.

Spójrzcie, proszę, na historyczną mapę Europy, młodzi przyjaciele, a ujrzycie, iż całe dzisiejsze Królestwo Pruskie, to ziemie rdzennie słowiańskie. Tu niegdyś żyły, walczyły i broniły się całą mocą rozpaczliwi ludy nam pokrewne. Ten sam los ostatecznej zagłady groził i nam w samym zaraniu dziejów naszych.

Pierwszy u nas panujący, co się z mroku podaniowych czasów wynurza — Mieszko, czyli Mieczysław (od 960 — 992) syn Ziemomysła, a prawnuk pono owej bajecznej pary: Piaśta i Rzepichy, władał już wprawdzie obszernym państwem, obejmowało ono bowiem ziemie Polan, Sieradzan, Łęczyczan, Kujawian, Mazurów, Chrobatów Białych, czyli Krakowiaków i Czerwonych, czyli Galicję, lecz dopóki było ono pogańskie, tak było słabym i lichym zorganizowanym, iż margrabia niemiecki Gero, napadłszy na Polskę, zmusił Mieszka do złożenia hołdu cesarzowi niemieckiemu, Ottonowi I. A stanowisko władcy naszego wobec butnych margrabiów niemieckich było tak upokarzające, iż Mieczysław

w obecności margrabiego Odonę nie śmiał pokazać się w futrze, ani przy stojącym usiąść.

Nie zorganizowane młode nasze państwo było łupem pociągającym nie tylko dla cesarza niemieckiego, lecz i dla drapieżnych margrabiów, na swoją rękę łupu szukających.

Dopóki zaś Polska pozostawała pogańska owej taktyce zaborczej Europa chętnieby dopomagała, tak jak dopomogła krucjacie 200,000 duńczyków i Niemców do ujarznienia zachodnich Słowian nadłabskich, czyli tak zwanego państwa Wendskiego, powstałego z połączenia bodryczów, lutyków i innych mniej licznych szczepów. I wówczas to właśnie na miejscu słowiańskiego państwa Wendskiego powstało margrabstwo brandenburskie, z połączenia zaś (za czasów reformacji) tego margrabstwa z zakonem krzyżaków powstało państwo pruskie na ziemiach rdzennie słowiańskich.

Tak więc, zagłada groziła młodymu państwu naszemu w samym zaraniu jego dziejów. Lecz zaborczej polityce sąsiadów położył tamę głęboki zmysł polityczny mądrego Mieszka. Zdaje się bowiem, że w przyjęciu chrześcijaństwa, myśl polityczna główną grała rolę, ponieważ Mieszko jako chrześcijanin, nie był bynajmniej posłusznym synem kościoła, skoro po śmierci pierwszej swej żony Dubrawki, córki księcia czeskiego Bolesława I, porwał z klasztoru mniszkę Odę, córkę margrabiego Dytrycha, i mniszkę ową za żonę pojął. Lecz jakiegokolwiek motywy kierowały postępkami Mieszka, rezultaty jego czynu były nader doniosłe i dla rozwoju młodego naszego państwa dodatnie. Na mocy tego faktu, Polska weszła w rząd państw europejskich, stała się jednostką polityczną,



Wit Stwosz.

Koronowanie Marji.

z którą się liczyć należało, nie można już nadal było pod płaszczykiem wiary swobodnie na niej łupu szukać. A jakkolwiek wciąż jeszcze hołdownik cesarza, Mieczysław już rozprawia się zwycięsko z margrabią Wiehmanem i Odonem i tego ostatniego kładzie trupem w bitwie pod Cydynem.

Pomimo to przecież, na zjeździe w Kwedlinburgu zostaje przez cesarza Ottona życzliwie przyjęty.

A korzystać umie z każdej okoliczności dla rozwoju swego państwa, ten pierwszy nasz władca, co kładł podwaliny młodemu państwu. Nie miał on bynajmniej orlego polotu syna swego Bolesława, a jakkolwiek dawał niejednokrotnie dowody odwagi, przebiegłością odznaczał się raczej.

Nie o porównanie jednak między tymi dwoma pierwszymi władcami Polski chodzi mi w tej chwili, lecz o wykazanie jak opiekuńczą i zbawczą rolę odegrał względem naszego narodu chrześcijaństwo.

Z podań o Wandzie i Piaście rozumiecie, jak dalece zasadniczy duch narodu podatny był istocie samej nauki Chrystusa. To też gorąco umiłowaliśmy tę wiarę, a kiedy w późniejszych wiekach weszło w zwyczaj w czasie Ewangelji wyciągać szablę z pochwy na znak, iż polak gotów bronić nauki Chrystusa krwią swoją, nie było to bynajmniej czczą formą jedynie. W tem swoim niepierworodnym dziecięciu chrześcijaństwo znalazł wiernego, całą duszą mu oddanego obrońcę, którego gorące i mężne serce, a mocne i rycerskie ramię przez długie wieki od półksiężycu go osłaniało.

Rycerze Marji wiary Jej nie dochowali, zaparli się Jej, protestantyzm przyjmując, lecz polacy w osobie swego króla, Jana Kazimierza, sojusz z Nią ponawiają, Jej opiece naród polecając, Królową swą Ją mieniąc. Z potopu nieszczęść za panowania tegoż króla wiara w Jej opiekę nas ratuje. Cudowną obroną Częstochowy zagrzany naród wypędza szweda, i Częstochowa staje się odtąd sercem Polski.

Ta sama wiara, która nam była płaszczem i tarczą w zaraniu dziejów, w tym okresie klęsk, tak słusznie przez mistrza Henryka „Potopem“ nazwanych, staje się ognistym mieczem archanioła, co wroga zwycięsko precz goni.

Wiem, że i Waszemi sercami wstrząsnąć musiał ból na wieść o krzywdzie niesłychanej, co lat temu parę wyrządzoną nam została przez istotę nieszczęsną a może i niepojętą, co zbeszczyła umiłowaną naszą świętość szaleńcem i błotem swej nędzy duchowej. Lecz pamięci łask, jakich naród nasz w tem nieszczęsnym miejscu doznał, ohyda ta zaćmić nie zdołała. Jęknął ból z milionów serc płynący i szczere a tak gorące łzy tysięcy płamę bolesną choć w części zmyły; a białe szaty zakonników tak bardzo nam przypominały szatę białą tu na ziemi tego górnego i potężnego ducha, Kordeckim zwanego, co w szacie tej nie tylko modlić się płomiennie, lecz i na grad kul nieprzyjacielskich z taką mocą niezłomnego bohaterstwa wystawiać umiał, i świętość tego wspomnienia wiąże białe szaty zakonników z potężnymi murami umiłowanej naszej świątyni.

Pod wpływem rozkładowych prądów drugiej połowy XIX w., jak w całej Europie tak i u nas wiara chwiać się poczęła. Lecz schyłek XIX i początek XX w., są świadkami nader pociesającego zjawiska. Wiara budzi się i podobnie jak słońce oświeca najpierw szczyty gmachów i drzew wierzchołki, w czasie kiedy średnia i dolna część ich jeszcze w mrokach bywa pogrążona, w Europie, ba, w świecie całym idzie powiew ducha szczytami cywilizacji i wiedzy. Ci co tworzą wiedzę, to jest potęgą swej twórczej, a mądrej myśli nowe iskry krzeszą, co pchają naukę naprzód, nie zadawalnając się przeżuwaniami cudzego spadku, poczynają pochyłać dostojne czoła przed prawdami wiary. Nauka straszliwą drogę niewiary przebywszy, niby wędrowiec znękany pustynią, żarem palącą drogę, śpieszyć poczyną ku tej jasnej, ożywczej, świetlanej oazie.

Wł. Nißecka.

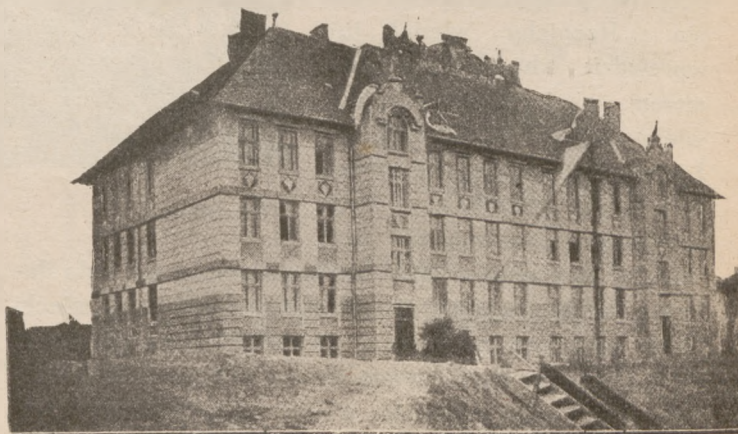
Dom dla uczniów.

500 letnią rocznicę chwały polskiego oręża na polach Grunwaldu upamiętniło społeczeństwo nasze darem, zebrany wśród całego narodu. Dawali grosz swój nie tylko bogaci lecz i najubożsi, trzeba więc było ten narodowy kapitał tak użyć, by największą korzyść osiągnęli ci, którzy od ust sobie odjąć musieli, aby wrzucić swą ofiarę do wspólnej skarboxy. Zarazem jednakże fundusz ten musiał przynieść pożytek całemu krajowi, gdyż w tym celu głównie był zbierany.

Niedługo trzeba było szukać celu. Żądza oświaty wśród ubogiej ludności jest wielka, a możność zaspokojenia dążeń prawie żadna. Więc naród ofiarował zebrany fundusz Towarzystwu Szkoły Ludowej, to zaś ze swej strony postanowiło użyć go na budowę tak zwanej bursy dla ubogiej młodzieży.

Wyraz „bursa“ za dawnych polskich czasów oznaczał mieszek, woreczek, później używano tego wyrażenia dla oznaczenia wspólnego życia, t. j. wspólnym kosztem, czyli z jednego worka, z jednej kasy. W następstwie pod tą nazwą budowano domy dla pomieszczenia ubogiej młodzieży, przybyłej do miasta po naukę a pozbawionej środków pieniężnych i opieki.

W naszych dziejach pierwszą taką bursę założyła



Bursa Grunwaldzka Tow. Szk. Lud. we Lwowie.

w Pradze Czeskiej królowa Jadwiga dla młodzieży litewskiej, pragnąc, tonący w ciemnocie świeżo ochrzczony naród podnieść umyślowo i zbliżyć w ten sposób do więcej oświeconego polskiego narodu. Gdy w kilkanaście lat później otwarto w Krakowie wyższą uczelnię — Akademię Jagiellońską, funduje bursę ówczesny biskup krakowski, doradca królów, Zbigniew Oleśnicki; w jego ślady wstępuje Jan Długosz, pierwszy dziejopis polski i tworzy swoim kosztem bursę prawników. Za tym przykładem poszli inni i Kraków skupiał przy swem ognisku oświatowem liczne rzesze, któreby bez takiej pomocy nie mogły marzyć o zdobyciu wiedzy. Warszawa później zaczęła się rozwijać i postępować na drodze rozwoju umysłowego, to też dopiero za Sasów widzimy u jezuitów schronisko dla ubogiej kształcącej się młodzieży.

Katastrofy przez jakie nasz kraj przechodził, zniszczyły szlachetne fundacje i pozostała z dawnych czasów jedna tylko bursa przy Małym Rynku w Krakowie. Teraz Galicja otrzymała z hojnego daru Grunwaldzkiego wzorowo urządzony taki zakład we Lwowie, gdzie znajduje pomieszczenie 130-tu wychowanców, uczęszczających do najrozmaitszych szkół.

Mają oni w domu, którego wizerunek załączamy, za bardzo niewielką opłatą schronienie i utrzymanie, posiadają warsztaty, salę teatralną dla amatorskich przedstawień, miejsce do gier na świeżem powietrzu, słowem wszystko, co potrzebne dla przyjemnego a zarazem najpożyteczniejszego wykorzystania poza szkolnego czasu.

Warszawa i całe Królestwo nie posiadają podobnych zakładów.

Jak nam są one potrzebne nawet mówić nie trzeba! Ufundowanie takich burs umożliwiłoby szerzenie oświaty wśród naszej żadnej nauki ubogiej młodzieży, gdzie kryje się i marnuje niejeden wybitny talent, niejedna dzielna siła.

NIEWIDOMA.

O matko! czy to prawda, co mi ludzie plotą,
I o czem szepce do mnie srebrny głos strumyka,
Że świat się cały płoni codzien zorzą złotą,
Że ptaszę na cześć słońca swoją pieśń wykrzyka,
Że niebo w noc pogodną strojne w gwiazd pożogę,
Tylko ja tego zobaczyć nie mogę?

Mówią mi ludzie, matko, że gdy letnią porą,
Zapłonie na obłokach rozpalone słońce,
Kiedy się kwiaty w barwne sukienki ubiorą,
I brzękną młode pszczoły w trawach płasające,
To wtedy taka radość snuje się po ziemi,
Jakby ją dłońmi Bóg dotknął Swojemi.

O matko! czy to prawda, że kiedy przechodzę
Przez pole, kłosa do mnie swoje głowy kłonią,
A powój bladolistny, co pnie się po drodze,
Upaja polne osy migdałową wonią,
Że między ziół rozrosłych jedwabną zielenią,
Skrzydła motyle tęczami się mienia?

Ach! nieraz we śnie długim wszystko widzę prawie,
I te łąny pszeniczne i te leśne zioła,
O czem marzę, co myślę, co chcę mieć na jawie,
Wszystko się w nocnej ciszy płacze dookoła,
Lecz gdy się zbudzę świtem, tylko wiatr szeleści,
Jak gdyby szydził z serdecznej boleści.

A gdy do siebie, matko, tulisz mnie co rano,
I szepcesz mi o cudach tej ziemskiej natury,
Czuję zapach łąk świeżych, słodką woń różaną,
Słyszę szmery owadów, i słowicze chóry,
I dziwna błogość w duszę dziewczęcą mi wpływa,
Bo chwilę jestem naprawdę szczęśliwa.

O! czy być może, matko, aby światło dzienne,
Do moich ciemnych źrenic nigdy nie zajrzało,
O! szepnij jedno słowo w nadzieje promienne,
Uspokój myśl dziecięcia, skroń uściśnij białą,
I pociesz serce długą zmęczone spowiedzią,

Głuchy płacz matki był jej odpowiedzią.

Marja Poraska.

Krzyż Legji honorowej DLA AWJATORKI.

Płeć piękna co raz to większą konkurencję wytwarza we wszystkich dziedzinach życia brzydkiej połowie rodu ludzkiego. Rozumie się można to tylko zanotować na korzyść jej przedstawielek, o ile kon-



Panna Dutrieu.

kurencja nie przejawia się w tak niekulturalnej i barbarzyńskiej formie w zdobywaniu praw, jak to czynią obecnie sufrażystki angielskie.

Ostatnio zdobyła sobie we Francji krzyż Legji honorowej, za zasługi na polu lotnictwa, dzielna awiatorka panna Dutrieu. Walczyła nie tak jak jej niesforne siostrzyce z Albionu, lecz prawdziwe zasługi zaważyły na szali, gdy prezydent udzielał jej to rzadkie dla kobiet odznaczenie.

Lady Scott.

Wdowie po bohaterskim podróżniku Scotcie, który zginął tragiczną śmiercią w powrotnej drodze od



Lady Scott z synkiem.

bieguna południowego, król angielski nadał tytuł lady, a rząd zajął się zabezpieczeniem jej bytu i bytu sierot.

Lady Scott, jak na dzielną kobietę przystało, zniosła z rzadką mocą charakteru śmierć swego małżonka, dumna, że zginął dla dobra i pożytku swej potężnej ojczyzny.

Dziś lady Scott ma sobie za obowiązek wychować swe dzieci na tak hartownych bojowników, jakim był ich nieodżałowany ojciec.

Dobra rada.

Złote słońce łąkę stroi
W szmaragdowej blask zieleni;
Tam dziewczyna marząc stoi
Na tle kwiatów i promieni.

Modrooka, uśmiechnięta
Jak majowy kwiat różowa,
Cała w bieli — niby święta,
Cała w blasku — jak królowa.

Aż motylek w tem złudzeniu,
Że to róża doń się śmieje,
Na dziewczęcą siadł ramieniu,
Roztęczone skrzydła chwieje.

Gość to chyży! Bawił chwilę
I odleciał gdzieś w promienie!
Dziewczę! sny twe jak motyle
Spłoszy pierwsze życia tchnienie!

Nie motyle my, nie ptacy,
Nie dla bujań na świat przyszli,
Lecz dla ofiar, cnót i pracy
Świątych celów, wielkich myśli!

Wiedz, że w życiu cel wytknięty,
Skromny, cichy, byle Boży,
Da zasługi glorię świętej,
I prawdziwe szczęście stworzy.

Szczęście takie barw nie zmieni
I nie pierzchnie jak motyle,
Gdyż i starość opromieni
I zakwitnie na mogile!

Ada Koneczna.

NIGDY!!!

10)

Z. MORAWSKA.

POWIEŚĆ Z R. 1813.

Przedruk i tłumaczenie wzbronione.

W otoczeniu sterczących nagiemi gałęziami drzew, ukazał się piętrowy dwór, mający pokazywać wygląd.

Sanie zatrzymały się przed nim.

Wąsowicz wyskoczył i śmiało ujął za klamkę.

W obszernej sieni spotkał go służący.

— Wracamy z wojny z Rosji, prosimy o gościnność.

Służący skłoniwszy głowę, wskazał ręką schody prowadzące na pięterko.

Tutaj ukazała się młoda panna, a spojrzawszy na wchodzącego, rzekła:

— Ojca mego niema w domu, lecz drzwi nasze zawsze otwarte dla polaków wracających z nieszczęśliwej wyprawy.

— A jeżeli są i cudzoziemcy? — spytał Wąsowicz, patrząc na śliczną postać dziewczęcia.

— I oni są ofiarami Napoleona.

Wąsowicz obejrzał się mimowoli, słyszał bowiem za sobą stąpanie.

Cesarz, nie czekając pozwolenia, ze zwykłą sobie pewnością wstępował po schodach.

Wierny jego towarzysz zatrzymał się, chcąc mu dać pierwszeństwo.

Napoleon nakazującym gestem dał znak, że nie chce iść pierwszy.

Pragnął zachować zupełne incognito.

Wąsowicz stosował się do jego woli.

Panienka spojrzała na idącego z taką

śmiałością, wskazała drzwi otwarte do pokoju i rzekła:

— Panowie raczą się rozgościć!

I skinęła na służącego, żeby szedł za nimi, sama zaś dając rozkazy, co do umieszczenia koni i ludzi, zniknęła w głębi domu.

Napoleon po wejściu do obszernego pokoju, rzucił się zaraz na sofę, wyciągając nogi z pewną lubością.

Generałowie weszli do przyległego pokoju.

— Nie oddawać mi honorów! — rozkazał.

— Ta panna źle na mnie spojrzała! — dodał.

— Jest polką, nie zdradzi! — odrzekł Wąsowicz.

I mimowoli się uśmiechnął, przypominając sobie ozwanie się panienki o Napoleonie.

Nie mógł on zrozumieć tego, co wypowiedziane było po polsku, słyszał tylko swe imię i dojrzał, a raczej wyczuł niechęć w głosie mówiącej.

Tymczasem we dworze zapanował ruch gorączkowy.

Przygotowywano przyjęcie dla przybyłych gości.

Nieliczna służba, przebiegając koło stojącego przy drzwiach Rustana, przypatrywała się jego ciemnej twarzy i spłoszczonym rysom.

Ukrywał on twarz pod kapturem obszernego burnusa, jak to czynił przez całą drogę, oczy jednak ciekawych i pod kaptur dosięgły.

— Ki to djabeł? — pytały dziewczęta, z których cała służba się składała.

Wszyscy bowiem prócz starego lokaja, Jakóba, wyszli byli na wojnę.

— Hm, hm! — mruknął tenże — wielcy panowie to sobie takich lokai o psiej czy świńskiej mordzie sprowadzają.

— Eh, co mi to za wielcy panowie, co w chłopskie konie, na prostych saniach jeżdżą! — odburknęła z lekceważeniem jedna z dziewcząt i pobieгла dalej.

A Jakób myślał:

— Może to sam cesarz?.. Powiadają że, ucieka przed nieprzyjacielem... może go tu bieda pod nasz dach zagnała...

Szkoda, że niema j. w. starosty, zaraz byśmy spenetrowali, on go pewnie widywał, bo mnie to jeno raz mignął się zdala, gdym był we Włoszech.

W podwórzu również ruch panował.

I tam prócz dwóch czy trzech starców, krzątali się niedorostki.

I służbę folwarczną wyłowiła wojna.

Lecz tak starzy jak niedorostki zaciekawieni byli przybyłymi.

Byli oni bowiem pierwsi, którzy owadzili o dwór Szydłowski, wracając z nieszczęśliwej wojny.

Mimo, że przyjechali prostemi saniami, wiał od nich jakiś majestat i wielkość, zwłaszcza jednego z nich, choć był niepokaźnie odziany i bodaj najniepozorniejszy.

Wypytywano więc włościan, którzy ich przywieźli.

— Djabeł ich wie, co za jedni. Prócz jednego, co się z nim można po swojemu rozmówić, gadają nie poludzku, musi francuzi.

— Oj, żeby nie zrabowali! boć to oni, idąc na wojnę, co miała nas zbawić, zalewali każdemu sadła za skórę!.. — odrzekł jeden z miejscowych.

— Eh, ni, ci nie rabują, owszem, godnie płacą!.. — ozwał się drugi z przybyłych wieśniaków, wyprzegając konie.

— To jakieś znaczne osoby, bodaj, czy nie sam *Napoljon*!.. — dodał pocichu.

— E, gdzieby zaś! — zaprzeczyli miejscowi.

Wielkie jednak imię rzucone w przestrzeń świdrowało każdemu w uszach, zawisło jakby we mgle grudniowej, która po ciężkich mrozach zapowiadała odwilż.

Tymczasem do pokoi zajętych przez podróżnych zapukał Jakób, oznajmiając:

— Podałem obiad.

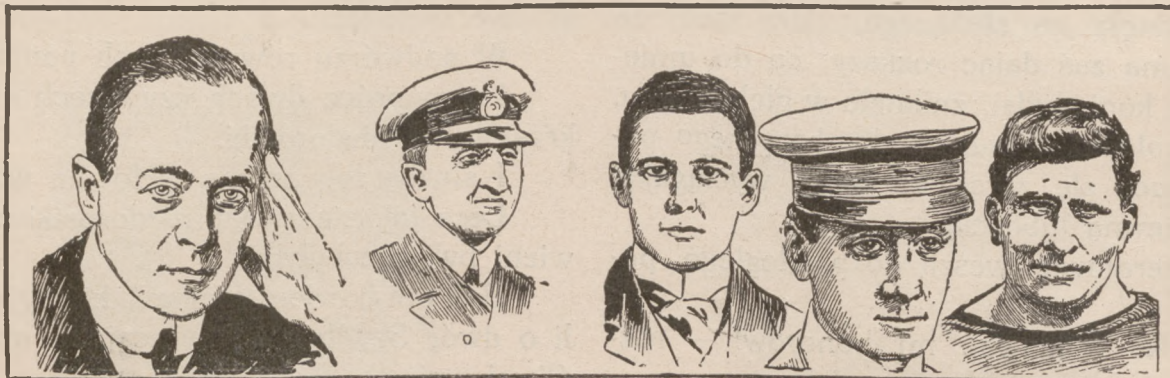
Napoleon, który drzemał na sofie, zerwał się z wielką skwapliwością.

Rustan czujny, na każdy szelest zjawił się, czekając rozkazów.

Władca nic nie mówiąc, dał znak, iż nie potrzebuje jego usług.

Obciągnął na sobie kamizelkę, zapiął wytarty długi surdut i spojrzał na drzwi przyległe.

Uczestnicy wyprawy kapitana Scotta, którzy zginęli pod biegunem Południowym.



Kapitan Scott.

Porucznik Bowers.

Kapitan Oates, Dr. Wilson.

Podoficer Evans,

STANISŁAW BEŁZA

NAD ŻŁOTYM ROGIEM

Tym więc sposobem, nie na jednym półwyspie, ale na dwóch powstało miasto, nie jedne wody, ale aż trzy rozlały się przy jego wybrzeżach; a że te wody, będąc morzem, dają obraz nie tylko morza, że zwiężając się i rozszerzając, raz przybierają kształty bezbrzeżnego słonego basenu, to znowu olbrzymiej zatoeki i figlarnie zakręconej rzeki, że dochodzą wszędzie, więc z tym gruntem pagórkowatym półwyspów, po których piętrzą się raz do góry, to znowu zstępują na dół różnokolorowe budynki, tworzą całość tak wspaśniałą, iż zaiste na wspanialszą przyrodzie i ludziom zdobyć się chyba byłoby niepodobieństwem.

A teraz dodajmy do tego wszystkiego, że te dwa rumelijskie półwyspy nie są właściwie jeszcze pełnym Konstantynopolem, że częścią składową jego jest nadto Skotari, trzecie miasto, już w Azji położone, że i to miasto wznosi się na pagórkach, słabo zaokrągloną linią, wcinających się w wody Bosforu i również roi się od minaretów i kopuł, półksiężycem ozdobionych — i powiedzmy, czy dziwić się można, że kto to wszystko w pewien błogosławiony, jasny, słoneczny dzień, jednym rzutem oka obejmie i zdając sobie sprawę z odczutego wrażenia, zechce je porównać z tem wrażeniem, jakiego doznał, kiedy się wczytywał w opisy tych miejsc, lub przyglądał ich obrazom — i książki i malarskie płótna, uzna za zbyt bladą kopję rzeczywistości, pełen przeświadczenia, że ani jedno, ani drugie, nie odzwierciedlają z dostateczną siłą tego wszystkiego, co tu okazuje się zdumionym oczom ludzkim.

Wielkie wrażenie, jakiego doznaje się na widok Konstantynopola, mnieman, wywołane jest właśnie przez to, iż ukazuje się on przyjezdnemu odrazu w całej swojej wspaniałej pełni.

Jest to zasługa gruntu, na którym stoi.

Gdyby, jak gdzieindziej, grunt ten był płaszczyzną, albo, unosząc się ku górze, odcinał od wody prawidłową geometryczną linią, wrażenie to musiałoby być

o wiele mniejszem: z którejkolwiek bowiem strony nawiedrzalibyśmy to miasto, przedstawiałoby nam ono w takim razie jedynie swoje części, nigdy zaś całość.

A tu w tem miejscu ukazuje właśnie całość i ukazuje ją, dzięki nie temu tylko, że piętrzy się po większych i mniejszych pagórkach, ale i temu także, że się rozpościera na gruncie wulkanicznym i poszarpanym, na dwóch wydłużonych półwyspach, pomiędzy które wdarł się szeroki rękaw morski.

A że wzdłuż tego rękawa, na skrajnych, jak to już zaznaczyliśmy wyżej, jego linjach, władcy Konstantynopola poustawiali najwspanialsze okazy swojej architektury, że tu, nie gdzieindziej, wzniesli słynne bizantyńskie baszty, ustawili: Aja Sofję, meczety Ahmeta, Validy i Sulejmana, że tu ciągną się mosty, jedno z największych osobliwości miasta, piętrzy wieża Galata, — przeto kiedy tu się przybędzie, czy od strony Bosforu, czy od morza Marmara, ogarnia się jednym oka rzutem wszystko razem.

Wszystko, w co hojna do morderstwa przyroda przyozdobiła ten skrawek ziemi i wszystko, co najpiękniejszego, wzniosł tu człowiek.

I dla tego to podjazd do Konstantynopola nie ma podobnego sobie nigdzie i dla tego, ani Wenecja, ani Neapol, ani Sztokholm, ani Palermo, ani żadne ze znanych mi miast nadmorskich, podobnego, jak on, wrażenia nie sprawia i dla tego wreszcie, nie wydaje się paradoksalnym, ten znany wykrzyk włoskiego podróżnika, gdy mu się ukazała panorama stolicy Padyszachów:

„Królowie, książęta, krezusi, potężni i możni tej ziemi, lituję się nad wami wszystkimi; moje miejsce na pokładzie okrętu warte jest tyle, co wszystkie wasze skarby i jednego mojego spojrzenia nie oddalbym, nawet za królestwo.“

III.

Część europejska Konstantynopola. — Brud i zaniedbanie, jakimi uderza na wstępie. — Przedmieścia Galata i Tophane. — Ogólna ich charakterystyka. — Wieża genueńska. — Konstantynopol ze szczytu tej wieży. — Barbarzyństwo i cywilizacja. — Kolej podziemną. — Pera i „Wielka ulica Pery”. — Ruch uliczny. — Domy i ludzie. — Psy i pociągi. — Co z darów Europy najlepiej zaaklimatyzowało się nad Bosforem? — „Na sposoby biorą się” i „Jedź na Kretę”...

Kto przybywa do Konstantynopola od strony Bosforu, z właściwym Konstantynopolem tureckim nie za-

biera odrazu znajomości, jak to już bowiem wyżej zaznaczyliśmy, wysiada na ląd w Galacie. Otóż Galata jest miastem w mieście, ale miastem tak odrębnym, że z tem głównym, którego część składową stanowi, nie wiele zdaje się mieć wspólnego. Z wyżej nad nim położoną Perą, jest ona jakgdyby przejściem od Zachodu do Wschodu, czemś w rodzaju wielkiego przedpo-

koju architektury i cywilizacji odrębnej; zanim więc przenikniemy do głównych komnat, gdzie ta cywilizacja ukazuje się w całej pełni, gdzie ta architektura prezentuje wszystko, co ma najpiękniejszego w sobie, rozejrzyjmy się po ich przedsiönku.

Ci wszyscy, którzy wierszem i prozą z talentem i niezdarne, zajmująco i nudno, opisywali wspaniałość panoramy Konstantynopola od strony morza, maczają głęboko pióra swoje w smole, gdy mają zdawać sprawę z obrazu, jaki to miasto ukazuje od pierwszego wejrzenia na lądzie.

Zupełnie słusznie.

Póki nie nawiedziliśmy stolicy sułtanów, póty nie mieliśmy nawet wyobrażenia o opuszczeniu, w jakim się ona znajduje. I nie mając o tem wyobrażenia, przypuszczaliśmy w opisach tego opuszczenia przesadę.

Wprawdzie zahaczywszy już w wędrówkach naszych o Wschód, położony po drugiej stronie Dunaju; przypuszczaliśmy, że nie znajdziemy tam tych porządków ulicznych, jakie uderzają w oczy w Paryżu, Wiedniu, a chociażby i w naszej Warszawie; ale żeby miasto milionowe, najciekawsze i najwspanialej położone na całym świecie, gdzie koncentrują się interesa poli-

tyczne trzech części globu, gdzie mieszka kalif proroka, szef wszystkich wiernych, cień samego Boga, miasto, dla którego wzbogacenia okrada się miliony różnorodnych i różnokolorowych istot ludzkich, było takim, jakim jest w rzeczywistości, no, to nawet przechodziło wszelkie nasze oczekiwania.

A jednak...

Już gdy kaik podpływa ku wybrzeżom Galaty, uderza to w oczy, ale nie ma czasu o tem myśleć, formalności bowiem paszportowe i rewizyjne zajmują naszą uwagę. Czekając wszakże na swoją kolej, nie

zamyka się niestety powiek, więc się dostrzega, że w brudnej budzie, noszącej miano komory, ma się przed sobą odrapanego urzędnika, pełniącego obowiązki kontrolera i rewidenta, i że trzeba skupić całą uwagę, aby w chwili, gdy ten urzędnik wykonywa swoje wysokie obowiązki, z pakunku, w którym ręce jego zagłębiają się bez ceremonji, nie ulotnił się jaki przedmiot, bynajmniej w Turcji do zabronionych

nie należący. Dostrzega się i coś więcej nadto, że ten urzędnik po ukończonej czynności, wyciąga do nas rękę, podczas, gdy przewodnik, któremu już na pokładzie statku parowego udało się wziąć nas, niby rzecz jaką, w swoje nieograniczone posiadanie, szepce nam do ucha z gestem wielomówiącym, wyraz: *bakeysz*.

To na samym wstępie, na progu, na pierwszym stopniu, — a na ulicy?

Ta ulica, na którą się wchodzi, po wyjściu z budy rewizyjnej, to nie ulica, lecz kanał.

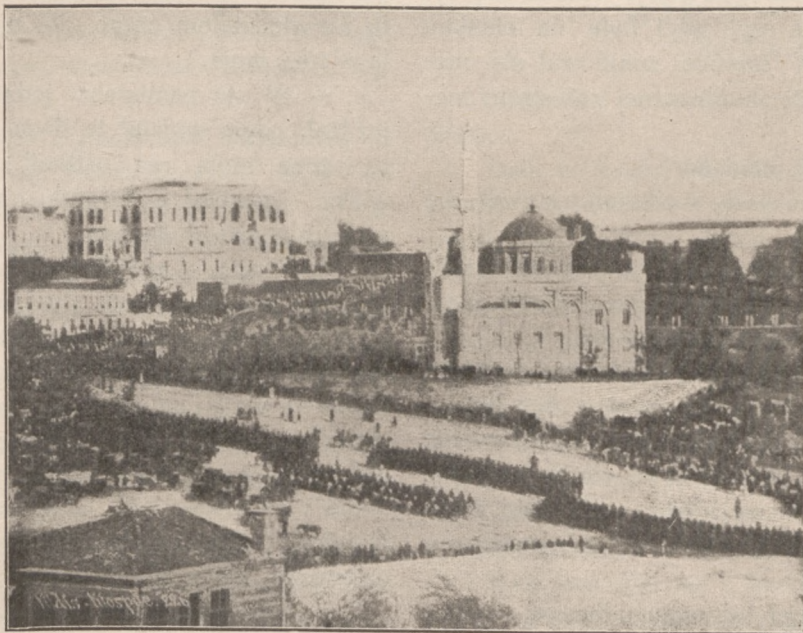
Kanał brudny, błotny, opuszczony.

Wązki i kręty, ciemny i zaduszny, wiję się śródkiem domów odrapanych; raz przybliża się do morza, to znowu się oddala od niego, by wreszcie zginąć w labiryncie zaułków, słońca i powietrza pozbawionych.

Środkiem tego kanału przesuwają się powoli ludzie, jakim podobnych nie spotyka się nigdzie.

Odziani starannie i obdarci, biedni i bogaci, biali i czarni, — a także i tak opaleni od słońca, że koloru ich twarzy określić niemal niepodobna, wiją się tu i owdzie, wchodzą ci w drogę, popychają jedni drugich, stoją i leżą siedzą i śpią.

d. c. n.



lildis Kiosk.

Tajemnica starego zamczyska.

11)

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW, PRZEZ AD. KONECZNĄ.

— Nikt? przecież to być nie może! Tyś ją słyszał... słyszał śpiewaną...

— Niegdyś, małym chłopięciem jeszcze, jam ją musiał ciągle słyszeć, gdyż pozostała mi w pamięci! Słowa zaś mam wyryte tutaj!

To mówiąc, Janusz, dobył ryngraf i podał pułkownikowi wraz z małą torebką ze skóry, widocznie przygotowaną do noszenia na szyi, gdyż była na cienkim rzemyku zawieszoną. W torebce znajdował się medaljon z miniaturą kobiety; z odwrotnej zaś strony medaljonu widniał napis:

„Synowi mojemu na pamiątkę“.

Pułkownik, pochwywszy medaljon, zerwał się z krzesła.

— Joanna moja! Joanna! — wołał, przyciskając do serca miniaturę kobiety. — Moja... moja... niema cię... minęłaś jak cień! O święta! o męczennico!

Upadł na kolana. Pierś starego żołnierza podnosiła się szarpana jakimś strasznym łkaniem bez łez.

Janusz stał, drżący cały ze wzruszenia; zdziwienie odebrało mu chwilowo przytomność, chciał podnieść z kłeczek pułkownika, chciał biedz, wołać dla niego o pomoc, ale własne członki jego ciała odmawiały mu posłuszeństwa.

Wtem pułkownik jakgdyby nagłą uderzony myślą, zerwał się z kłeczek, przyskoczył do Janusza i dygocącymi rękami podniósł mu rękaw na prawej ręce, poniżej łokcia ukazało się pięciolistne znamię...

— Synu mój! — zawołał, z nie dającą się opisać radością, zarzucając ręce na szyję Janusza.

Radość, uszczęśliwienie bez granic, wstrząsnęły sercem młodzieńca. On, osamotniony, z łaski przez dobrą niewiastę wychowany, sierota, odnalazł ojca!

Padł do nóg pułkownikowi, ale w tej chwili wyczerpane wzruszeniem siły opuściły starca i byłby upadł gdyby go Janusz w objęciach swych nie był przytrzymał...

— Jak to, a tamta Zarembina? — mówił pułkownik?

— Zastała mnie. małym chłopięciem płaczącym u wrót cmentarza; zabrała i wychowała! — odrzekł Janusz i wpół przytomny z radości, posadziwszy znów w poręczowym krześle ojca, ukląkł i począł całować jego nogi i ręce.

Pułkownik jedną dłonią przyciskał do piersi medaljon z miniaturą, drugą głaskał pieszczotliwie głowę odnalezonego syna, powtarzając:

— Syn mój, Januszek! moje dziecko!

Szczęście nie zabija, więc po chwili pułkownik, siły odzyskał. Dawno niewidziany gość, dobrotliwy uśmiech rozjaśniał teraz, tak zwykle ponurą jego twarz; oczu od syna oderwać nie mógł, niepewien jeszcze czy to sen, czy rzeczywistość, snąć serce nie mogąc się ze szczęściem oswoić drżało aby go na nowo nie postradać.

— Powiedz mi Januszk—zapytał —co ci z dzieciennych lat pozostało w pamięci.

— Mało pamiętam, ojciec mój drogi, jeśli mi już wolno nazwać cię tem świętem imieniem! — odrzekł Janusz. — Pamiętam jednak duży krużganek o wysokich kolumnach, gdzie się bawiłem, przed krużgankiem pamiętam raz dużo ułanów i wszyscyśmy wtedy płakali; nie wiedziałem czego, ale też płakałem, gdyż płakała matka moja.

— A! to pamiętasz jednak, ów dzień gdym odjeżdżał, gdym widział te dwie męczennice, matkę moją i żonę moją raz ostatni! Gdym je pożegnał na wieki! — zawołał pułkownik, i pierś jego ciężkiem się podniosła westchnieniem.

— Potem — mówił znów Janusz — pomnę jedną, straszną noc, widocznie zbudzono mię! Płonęło prze-rażające czerwone światło dokoła, widziałem dym, słyszałem jęki i krzyk. Zawieszono mi oto ten ryngraf i medaljon na szyję pod sukienkę. Jakieś dzikie wycia, jakieś straszliwe postacie miały się wściekle, wszyscy padali pod ich ciosami. Matka moja była w jednej bieleźnie i osłaniała mię własnem ciałem, ale i na nią rzucił się zbój, wówczas oddała mnie w ręce jakiegoś człowieka, który wszedł przed chwilą i krzyknęła:

— Ratuj go! przez rany Chrystusowe ratuj!

— I nie wiem już co nastąpiło potem, bo ukryłem twarz i oczy na piersiach tego człowieka. Musiał on wynieść mnie stamtąd na podwórze, gdyż mnie nagle ogarnął chłód, a gdy podniosłem głowę było ciemno.

— Ach, więc on prawdę mówił, że cię ocalił, i że nie on zabił twoją matkę! Prawdę mówi, a ja go trzymam w więzieniu tyle lat — zawołał z przejęciem pułkownik.

— Co za „on“? — zapytał ciekawie Janusz.

— Watażka, którego mi byli przywiedli jako mordercę mej rodziny! On ciągle twierdził, że gdy ze swą szajką nadciągnął, zastał dom mój w płomieniach a w nim mordującą swe ofiary całą watahę Żeleźniaka, żem nie wydał na stracenie tego człowieka, za-wdzięcza tylko temu co mówił!

— A gdzie on jest?

— Gdzie? Trzymam go w wieży starego zamku. Są tam i podziemia, ale on częściej przesiaduje na górze... gdzie okna zakratowane...

— Cóż z nim teraz będzie, mój ojciec?

— Oswobodzę go i tak nagrodzę, by na całe życie był zabezpieczony. Uniknął on strasznej rozprawy, jaką dostali hajdamacy, dlatego tylko, że cię, synu mój miły, ocalił! Bieda jednak, że zmuszony będąc do ucieczki i ukrywania się, nie mógł mi powiedzieć nic więcej nadto, że cię swej żonie zostawił.

d. c. n.

Najtańsza ryba.

W czasie postu, kiedy różnych rodzajów i gatunków ryby zjawiają się na naszych stołach, nie od rzeczy będzie powiedzieć coś o rybie, zajmującej najpoważniejsze miejsce w postnym pożywieniu wszystkich stanów, a przedewszystkiem uboższej klasy.

Nazywa się — śledź.

Tak jest, śledź; ale ten osobnik rybiego rodu, nie nie zawsze był tak niepozornym i popularnym, jak dzisiaj. I śledź pamięta złote swe czasy, kiedy jako osobliwość i kosztowny, nadzwyczajny przysmak, zajmował honorowe miejsce na stołach „wielkich” tego świata i stanowił potrawę niezmiernie rzadką i wykwintną.

Jeden z największych arystokratów angielskich na początku 18-go wieku, lord Northumberland kazał sobie podawać codziennie na stół cztery śledzie świeże a osiem solonych, a wieść o tym zbyt obiegła cały świat i zjednała mu rozgłos „rozrzutności”, a choć w sto lat później śledź solony przestał już być potrawą rzadką, mimo to był rybą bardzo poszukiwaną. Wkrótce przecież śledź stał się najzwyklejszym pożywieniem biednych mieszkańców Europy.

Miljardy śledzi ukazują się co rok na targach, a ceny ich mimo ogromnego zapotrzebowania są bardzo niskie.

Jeden z angielskich naturalistów rzucił nieco światła na wędrówki śledzia i jego nadzwyczajną mnożność, gdyż wogóle przyrodnicy po macoszemu traktują tę rybkę, nie badając jej, jak na to zasługuje.

Wiadomo powszechnie, iż ptaki w czasie swych corocznych wędrówek zdążają do celu szlakami stałymi, ale śledzie zupełnie inaczej czynią. Są to podróżnicy kierujący się chwilowym kaprysem, lub natchnieniem. To pojawiają się przy brzegach, gdzie ich nigdy przedtem nie widziano, to znów znikają z okolic, w których pojawiały się od czasów niepamiętnych stale, co rok o jednej i tej samej porze, przyprowadzając tym sposobem tysiące rybaków o ruinę.

W XIII i XIV wieku, głównym miejscem pobytu śledzi były brzegi wyspy Rugji. I daremnie by po świecie szukano drugiego miejsca, w któremby połów śledzi dawał tak obfite rezultaty, jak w owej miejscowości.

Cieszyli się rybacy i rośli w zamożność, gdy nagle w r. 1425 śledzie zmieniły swój kierunek. Nie widział ich Bałtyk, ani brzegi Pomorza; natomiast mieszkańcy wyspy Helgoland oddali się z uciechą połowowi śledzi.

Ale radość ich była krótką, i ich śledzie wkrótce opuściły, by dotąd nie wrócić. Przypomniały sobie dawniejsze drogi i znów w olbrzymiej ilości przybywają do brzegów Rugji, uszczęśliwiając jej mieszkańców.

Pomimo, że śledzie posiadają jednakowy kolor i formę, świadczące o wspólnym pochodzeniu — różnią się od siebie wielkością; śledź norweski jest większy od śledzia bałtyckiego.

Chociaż apetyt na śledzie zwiększa się i popyt

nań wzrasta, zagłada jego rodowi nie grozi, gdyż niesłychanie się mnoży. Według przyrodników samica śledzia składa naraz od 30,000 do 40,000 ziarn ikry. Pochłanianie więc przez ludzi 10 milionów sztuk rocznie, nadzwyczajnej straty w nich nie powoduje i możemy cieszyć się nadzieją, że setki lat jeszcze w dni postu śledź żywić nas będzie.

Świerszcz.

„WISŁA“

(WSPOMNIENIE).

Najmilszą towarzyszką naszego dzieciństwa była Wisła.

Była to wielka łaciasta suka rasy z góry św. Bernarda, z ciemnymi mądremi ślepiami, w których malowały się ludzkie niemal uczucia. Gdy biegaliśmy wszyscy z krzykiem i śmiechem po dziedzińcu, oczy Wisły śmiały się radośnie, jak pierwszego lepszego zbytnika, gdy przychodziła rano polizać rękę naszej matki, oczy jej wyrażały głębokie przywiązanie i wdzięczność; ale gdy zjawił się obcy, podejrzany jaki człowiek, wzrok naszej przyjaciółki miotał błyskawice, a bujna jej sierść jeżyła się groźnie.

Żadna nasza wyprawa czy to do lasu, czy do sianokosu, czy też nad rzekę, nie obyła się bez Wisły.

Była ona dla nas i niedźwiedziem w lesie i słoniem na łące i strasznym rekinem w rzece.

Los tego niedźwiedzio-słonio-rekina czasami nie był godzien zazdrości; nieustraszeni malcy potrafili ciągnąć za ogon słonia, targać za uszy niedźwiedzia i kłaść piąstki w otwartą paszczę rekina.

Wisła cierpliwie znosiła te karesy dziecięce, chociaż potrafiła błysnąć okiem, jeżeli dokuczył jej ktoś obcy.

Dla małego Władka Wisła była stale wierzchowcem, Funia pierwsze swoje kroki stawiała trzymając się potężnego karku Wisły — słowem dziecinne nasze życie silnie było zespolone z Wisłą i trudno byłoby sobie wyobrazić nasz świat bez tego wiernego psa.

Pewnego ranka cały dom był zdziwiony i zaniepokojony, że Wisła nie przyszła obudzić i powitać nas, jak zwykle to miało miejsce.

Matka nasza niespokojna co się z nią stało, wyszła przed ganek, a po chwili usłyszeliśmy wołanie, że Wisła zdycha. Prerażeni, wybiegliśmy i straszny widok przedstawił się nam przed oczyma:

Wisła leżała rozciągnięta, z wywieszonym językiem, błędnym wzrokiem i ciężko, chrapliwie dyszała.

Skopana i poszarpana pazurami ziemia dookoła niej, wskazywała, jak wielkie były jej męczarnie.

Wisła była otruta.

Matka nasza próbowała wszelkich środków aby ją uratować.

Podnosząc rękami, jej piękny, zgrabny łeb, wlewała w otwarty pysk lekarstwo, które jednak nie pomogło.

Było zapóźno.

Pies raz tylko jeszcze spojrzał na nas, tym przytomnym, pełnym bólu i rozpaczny wzrokiem, polizał rękę matki i zdechł.

Matce z oczu popłynęły łzy.

Widząc płacz matki, zawtórowaliśmy wszyscy w tym smutku, a starsi bracia dźwignęli jej ciężkie, bezwładne cielsko i ponieśli w głąb ogrodu, pod grupę świerków, gdzie często lubiła wypoczywać w cieniu; wykopali tam dół i złożyli doń biedne psisko. Później przytoczyli z pola duży kamień, a położywszy go na mogile, wyryli krótki napis:

„WISŁA“.

Kazimierz Rydzewski.

Luźne kartki.

I.

Istnieje między innemi pewna gra bardzo prosta, zwana „Grą literacką“. Zresztą nazwa ta nie jest patentowana, i gra inaczej ułożona może być również geograficzną, historyczną i t. p.

Bierze się oto poprostu cztery kartki w formie biletów, pisze się na każdej z nich większemi literami imię i nazwisko jednego i tego samego poety lub powieściopisarza, a nieco niżej tytuły czterech jego utworów, przemieniając ich szyk w ten sposób, aby na każdej kartce inny utwór stał na pierwszym miejscu. Utwór ten podkreśla się dla odznaczenia.

Przyrządziwszy odpowiednią ilość takich poczwórnych kartek, rozdajemy je pomiędzy uczestników gry, poczem staraniem każdego jest dopełnienie sobie do każdej z otrzymanych kartek — czwórki, którą zdobywszy, odkłada się na bok. Kto ma najwięcej takich czwórek ten wygrywa. Najwięcej zaś czwórek zyskuje ten, kto ma dobrą pamięć i uwagę, tembardziej, że podczas gry panuje ożywiona rozmowa. Co chwila ktoś zwraca się do swego sąsiada, lub którejkolwiek z osób w towarzystwie z uprzejmem zapytaniem:

— Czy mogę prosić pana o „Balladynę“ Juliusza Słowackiego?

Tymczasem sąsiad jego z drugiej strony, który milcząc ma baczne oko i ucho na wszystko, co się dzieje przy stole, a którego los obdarzył, przypuścmy



Szary dzień.

„Anhellim“ i „Ojcem Zadżumionych“, kombinuje sobie w cichości ducha:

— Acha! jeżeli on się pyta o „Balladynę“, to znaczy że jej nie ma, a za to posiada ostatnią czwartą kartkę, której je nie mam?

I ledwie przebrzmiało zapytanie i odmowna odpowiedź, zwraca się już napewno do sąsiada:

— Racz szanowny pan oddać mi „Lillę Venedę“. Posiadacz „Lilli“ krzywi się lecz oddaje, szczęśliwy zaś zdobywca, mając już teraz trzy kartki, rozpoczyna poszukiwanie „Balladyny“.

Jeśli nie trafi dobrze, to wszystkie trzy kartki odbierze mu następny gracz, o ile uważnie słuchał i wie gdzie ich szukać. Do tej zwyczajnej gry, jak zresztą do każdej innej, można się zapalić. Co więcej jednak, można się z niej, chcąc nie chcąc, nauczyć troszkę literatury.

Wiem też dobrze, jak nawet małe dzieci, lub też młodzieńcy z trzeciej i czwartej klasy, którym w innym razie nigdy nie przyszłoby do głowy pamiętać coś podobnego, na zapytanie, coby mógł napisać Adam Naruszewicz, wykrzykiwali z zapałem: „Reduty!“ „Głos umarłych!“ — czekaj ja powiem: „Szlachetność!“ „Chudy literat!“

Jakkolwiek zasługa Adama Naruszewicza nie polega bynajmniej wyłącznie na „Chudym literacie“, jednak po nitce dochodzi się do kłębka; słysząc o jakimś dziele, pragniemy go poznać, potem drugie, trzecie i wreszcie wytwarzamy sobie dokładnie mniej więcej pojęcie o twórczości danego autora! A pamiętajmy, że znać literaturę ojczystą, to nie jest potrzeba, to jest obowiązek, a nie znać jej to wstyd.

Cóżbyśmy to powiedzieli, gdyby Niemiec, zapytany przez nas o Schillera, lub Anglik — o Byrona, rzekł:

— Nie wiem... nie czytałem... nie pamiętam!

Cudzą literaturę trzeba znać, swoją — trzeba ukończyć.

Cudza jest dla nas, niby piękna arja, słyszana czasem w teatrze, a swoja, taka śliczna, ulubiona piosenka, którą śpiewano nam nad kołyską, którą pamiętamy z dzieciństwa, która zrosła się jakgdyby ze ścianami naszego domu...

Słyszeliśmy ją tysiące razy i zawsze słyszeć ją chcemy, a jeżeli zapomniana, gdzieś na krańcu świata, wśród obcych ludzi, odezwie się do nas przypadkiem, to serce tak ściska... jak się ścisnęło temu „Latarnikowi“ Sienkiewicza, który na dalekim, samotnym, morskim brzegu wśród piasków, przeczytał nagle w wyrzuconej falami, żółtej książce:

...Ojczyzno moja! Ty jesteś jak zdrowie!

Nawet stary stojący zegar kurantowy
W drewnianej szafie poznał u wnijścia alkowy,
I z dziecinną radością pociągnął za sznurek,
By stary Dąbrowskiego usłyszeć mazurek.

Co to jest?... Wszyscy starsi czytelnicy „Wieczorów“ odpowiedzą zapewne jednogłośnie: To „Pan Tadeusz“! Tak. I on także, wróciwszy po długiej niebytności do domu rodzinnego, chciał przedewszystkiem

słyszeć tę piosenkę, która jest czemś więcej jeszcze niż wspomnieniem lat dziecińczych.

Czy my naprawdę dobrze znamy „Pana Tadeusza”, czy też może jest on dla nas tylko tytułem z „Gry literackiej?”

Bo znać wielkie dzieło, to nie znaczy tylko prze-

czytać, to znaczy je zrozumieć, wplątać go niejako w myśli własne, to znaczy je odczuć. A szczególnie takie dzieło, jak „Pana Tadeusza”, o którym Tarnowski powiada, że jest epopeją jedną z najpiękniejszych po Iliadzie i Odysei — bo nie naśladowaną.

d. c. n.

Jak Janek i Marylka spędzili wakacje.

— Wyrzuć no te szmaty i daj spokój fabrykacji filcu. To co czytałeś to tylko legenda. Nie tak to łatwo znowu filc zrobić. Wieczorem opowiem wam o tem, a jutro pójdziemy do kapelusznika!

— Tylko niech wujek Marylce nic nie mówi, bo śmiała by się ze mnie całe życie!

— Zgoda!

Wieczorem, gdy zasiedli wszyscy na werandzie, wuj Olek opowiadał:

— Wyrób filcu znali ludzie od bardzo dawna i znają go ludzie stojący nawet na wysokim stopniu cywilizacji. Tacy np. Kirgizi i inne ludy pasterskie, koczujące po niezmiernych stepach Azji, mieszkają w namiotach z filcu, który sami sobie sporządzają. O ludach tych można śmiało przypuszczać, że ubierały się one i mieszkaly tak jak dzisiaj już przed tysiącami lat. Kapelusze filcowe nosili już i starożytni Grecy i Rzymianie. U tych ostatnich płaskie kapelusiki filcowe były oznaką wolnego człowieka i niewolnikom nie było wolno ich nosić.

Filc wyrabiany bywa z wełny.

Do Niemiec wyroby z filcu i wiadomości o sporządzaniu dostały się stosunkowo późno. Cesarz Karol Wielki rozdawał dworzanom swym w podarunku ciepłe filcowe płaszcze i wtedy jeszcze uchodziły one za osobiliwość. Mimo, że Niemcy późno nauczyli się wyrobu filcu, w dziesiątym stuleciu uchodzili za znakomitych jego wytwórców. O tem zaledwie spotyka się tu i owdzie wzmianki. Dokładniejsze wiadomości o kapelusznikarzu mieszkającym w Norymberdze i wyrabiającym tam kapelusze spotykamy dopiero około roku 1360. Kapelusze te nie odznaczały się takim bogactwem form jak dzisiejsze. Były to poprostu kule śpiczaste z szerokimi rondami.

Przy wyrobie filcu poddaje się wełnę lub szerść działaniu ciepła i wody, zbija się ją, walcuje. Tak walcowane włosy zbijają się razem dzięki swej budowie, gdybyśmy bowiem popatrzyli na włos przez mikroskop, zobaczylibyśmy, że włos ten nie jest równy, tylko posiada różne pierścienie i nierówności, które przy gnieceniu zaczepiają o siebie i dopomagają do zbijania się.

Na drugi dzień dzieci same przypomniały wujowi, że mają iść do kapelusznika.

Podróż trwała niedługo, bo kapelusznik mieszkał na sąsiedniej ulicy. Gości swoich poprowadził prze-

dewszystkiem do warsztatu, w którym oddzielano sierść ze skórek.

Tu objaśniał:

— Zanim skórka zostanie się na maszynę musi być odpowiednio zabajcowana. Do bajcowania skórek używa się płynu sporządzonego z żywego srebra, sublimatu octowego i arsenu. Płynem tym pociąga się włosy, składa skórki pociągnięte włosami do siebie i umieszcza na słońcu albo w ogrzonym pokoju. Po pewnym czasie czesze się skórki tak, aby włos zwrócony był w jedną stronę i albo ręcznie goli się włosy ze skóry, albo też robi się to przy pomocy odpowiednich maszyn, uważając aby przy tem nie uszkadzać skórek. Ponieważ nie na całej skórze są włosy jednakowej wartości, odkłada się osobno najlepsze miękkie włosy z grzbietu i te służą do wyrabiania najdelikatniejszego filcu. Ścięte włosy pakuje się do odpowiednich naczyń, w których pozostawia się je przez pewien czas. Następnie przedziela się włosy.

Tu kapelusznik wskazał dosyć duży stół, na którym leżała krata sporządzona z cienkich sztabek. Na kratę tę kładł robotnik tyle włosów, ile ich było potrzeba na wyrobienie jednego kapelusza.

Krata owa była na to, aby pomiędzy sztabki spadał proch i inne materiały.

Przy stole stał robotnik z tak zwanym obłąkiem; jest to narzędzie, jak Janek powiedział, podobne do smyczka używanego przy grze na basach, ale o wiele dłuższe. Narzędzie to składa się z giętkiego kawałka drzewa i grubej dobrze naciągniętej struny. Łopatką z drzewa naciągał ciągle robotnik strunę i puszczał ją na włosy.

Przez te uderzenia włosy wprawiane były w ciągły ruch. Zręczne te i umiejętnie uderzenia sprawiały, że włosy zbijały się coraz bardziej i wreszcie zbity się w taką małą kupkę, że dzieci w żaden sposób nie chciały wierzyć; aby ta mała kupeczka włosów wystarczyła do wyrobu jednego kapelusza.

Wkrótce jednak przekonały się, że to prawda. Powstałą kupkę podzielił kapelusznik na kilka nowych kupek, a następnie zaczął kupki przerabiec, ugniatać i zbijać.

Józef Ciembroniewicz.

d. c. n.



Nareszcie głęboki, pożądany wieczór...

Skończyły się już obowiązki i kłopoty dnia; ułożyłam spać moją Halinkę wraz z jej ulubioną lalką i zasiadam oto do przemiłej, choć tylko listownej pogawędki z wami, drodzy moi czytelnicy, z których wielu znam już z fotografii, a więc prawie na pół osobiście, a charakter pisma stałych mych korespondentów, zdaleka już rozpoznaję.

Jakaż to smutna wiadomość, kochana *Samotności!*

Śmierć! o nie może być nic smutniejszego i boleśnieszego nad nią i z duszy całej współczuję osieroconej twej kuzynce, którą niedawno poznałam, a której cierpienie rozumiem tem lepiej, żem sama ojca przedcześnie straciła, będąc w warunkach jej podobnych. A i obecnie w domu mym smutek ciężki i żaloba, gdyż przed paru tygodniami umarł mój szwagier, człowiek zaledwie dwudziestokilkuletni i rokujący jaknajlepsze nadzieje — cierpiąc więc sama żywo odczuwam boleść sieroty i w myśli tulę ją do serca.

Wiem, *Samotności*, że kochasz swą kuzynkę, nie potrzebuję cię więc zachęcać do wdwojenia dla niej uczucia i serdecznej troskliwości, których będzie potrzebowała więcej, niż zazwyczaj — ale dziewczę drogie, pomnij, że ciosy takie, aczkolwiek okrutne, łamać nas nie powinny — ty zaś posuwasz się do skarg zbyt gorzkich, prawie grzesznych, gdyż zarzucasz niesprawiedliwość... o, nie, nie czyni tego!

Więcej poddania się woli Bożej! więcej ufności w Opatrzność. Przypomnij sobie swe postanowienia, czynione Dzieciątku Jezus w dzień Nowego Roku i bądź dla swej siostry w ciężkiej dla niej chwili, podporą, ostoją, nie powodem zwątpienia. Wielce również skutecznym w tych razach lekarstwem jest praca, która myśli zwraca w inną stronę.

Promień Słońca dobrze zgryzła orzeszki. Dziękuję ci, kochanko za miły liścik i miłą jeszcze znajomość, ale na wstępie muszę dać burę, żeś zamało napisała o sobie; przyjaciółce mówi się o swych ukochaniach, celach, pragnieniu, a tyś mi o tem nic nie napisała — na przyszłość proszę się poprawić i napisać coś więcej o swym klasztorze. Za całusa wywdzięczam się serdecznym uściskiem.

Biruta zdaje w tym roku na maturę i jedzie na uniwersytet.

Ślicznie to, i zawczasu chylę czoło przed przyszłą doktorką; ale, jedna uwaga dziewczeczko: piszesz mi, żeś wąta, często zapadasz na zdrowiu i musisz leżeć, co ci ogromnie przeszkadza w naukach — jakże więc to będzie na uniwersytecie, zwłaszcza na trudnym wydziale medycznym, który wymaga i zdrowia dobrego i nerwów hartownych?

Rozważ więc głęboko, czy warto wstępować na drogę, z której z powodu przeszkód niezależnych od ciebie, będziesz się może musiała cofnąć, przyczyniając sobie, a może i innym o jeden więcej gorzki zawód? Czy nie lepiej od razu wybrać sobie coś bardziej odpowiedniego dla sił fizycznych i jednocześnie pożytecznego dla rodzinnej wioski, dla miłości której pragniesz zostać lekarzem?

Biruto droga! ja nie pragnę cię zniechęcać, tylko radzę dobrze, dobrze wszystko rozważyć, zanim w tak

stanowczym celu opuścisz kraj. Pensjonatu żadnego w mieście tem nie znam. Z obietnicy odwiedzenia mię w Warszawie i osobistego poznania się z tobą cieszę się bardzo, tylko wolałabym być uprzedzoną o dniu twych odwiedzin, abym wypadkiem nie wyfrunęła w ten dzień z Warszawy, lub nie wyszła z domu.

Z serca dziękuję ci *Rusalko Dniestrowa* za taki piękny podarek i nawzajem ofiaruję ci od siebie to samo!

Masz rację, że wyraz: „Uszczęśliwiać“ jest to wielkie słowo i powinno być celem ludzkości, to też najzupełniej ci wierzę, że i ty pragniesz do tego wzniosłego celu dążyć. A czy wiesz skąd rozpoczyna się uszczęśliwianie? Oto przede wszystkim, od sumiennego spełniania swych obowiązków od pracy nad własnym charakterem i umysłem. Oświecaj więc tymczasem, dziecińo, nauką swój umysł, uszlachetniaj dobrymi czynami ducha, a staniesz w rzędzie tych, co sieją ludzkości szczęście.

Obszerny i bardzo zajmujący list twój *Tesknoto* dobrze świadczy o twym umysłowym stanie. Czytając go, miałam wrażenie, że chyba omyliłaś się, podając II klasę — tymbardziej, że i charakter pisma zdradza pewność ręki i wyrobienie.

Dziecko drogie, lubisz wszystko, prócz... i trochę ci z tem ciężko; sama się jednak przyzwyczaisz, że nie zabiegasz o dobre uczucia swego otoczenia. To źle!

Zapewne, że przyjaźń jest to uczucie wielkie i święte, i trudne do znalezienia, choć wszyscy go pożądamy. Ale widzisz, trudność znalezienia prawdziwej przyjaźni pochodzi stąd, że pragniemy jej tylko dla siebie, nie oddając wzajemnie tego, co obierzemy; pragniemy brać, nie dawać i w tem tkwi nieporozumienie. „Miej serce i patrz w serce“ — powiedział poeta — a ty je masz, i u innych widzisz, tylko jeszcze niezupełnie jasno zdajesz sobie z tego sprawę. Jest to stan przejściowy, który wkrótce się skończy, tymbardziej, że wiodą cię mistrze najwięksi z Mickiewiczem na czele, pozostają zawsze wierną takiej, jak dotychczas literaturze i lepiej czytaj mało, a dzieła wyborowe, wpływające dodatnio na twe serce i myśl.

Kartę twą *Anielciu* i list otrzymałam. Smutne to, co piszesz, ale nie jest znów tak rozpaczliwe, bo dokąd żyjemy — wszystko jest do naprawienia i tutaj więc rada znaleźć się musi, tylko nie należy rąk opuszczać, lecz baczenie uważać, z której strony uderzyć, by doszło do porozumienia. Czuwaj więc *Anielciu* niezmordowanie i we właściwych chwilach występuj obustronnie, jako anioł pojednania, pokoju.

Powieść p. t. „*Andrzej Radek*“ znam, jest to najpiękniejszy bodaj i najprawdziwszy utwór tego autora; tchnie z niego ból; a jednak i siła nasza, do poznania innych jego dzieł nie zachęcam nikogo. Prawda, dziewczeczko, że czytając takiego „*Andrzeja*“ zapominamy o osobistej niedoli, lecz wyczuwamy tętno całego narodu?

Adres, o który tak ci się rozchodzi: Warszawa, Hoża 23 m. 18 u pani Kolińskiej, dla...

Nie nudzisz mię wcale *Lolu Figlarko* swymi listami, tylko smucisz, że nie masz czasu uczyć się po polsku. Trzeba ten czas znaleźć *koniecznie* boć to obowiązki każdej Polki.

Przyjaciółka.



PIERWSZA WARSZAWSKA FABRYKA NIETŁUKĄCYCH SIĘ LALEK JANA WODNIAKOWSKIEGO

w Warszawie, Leszno 100

POLECA WYROBY WŁASNE

LALKI najpraktyczniejsze skórzane i płócienne.

LALKI ubrane w wielkim wyborze.

LALKI w narodowych kostjumach.

LALKI z nietłukącymi się, pięknymi główkami.

LALKI z peruczkami, z prawdziwych włosów, z imitacji lnu.

NOWOŚĆ!! KONFEKCJA DLA LALEK W WIELKIM WYBORZE.

Części zapasowe oraz farba, guma do reperacji.

CENY FABRYCZNE

TANIO

Uwaga! Kantor i sprzedaż detaliczna p. t. „RAJ DZIECIĘCY” Chmielna 26, telefon 217-46.

Ważne dla Młodzieży!

Na fortepianie, skrzypcach, cytrze, gitarze i mandolinie, uczę gruntnie i tanio. Złota 26, m. 39.



ZNANE ZE SWEJ DOBROCI

OBUWIE DAMSKIE, MĘZKIE I DZIECIĘCE

poleca w swych Magazynach

Szewc Władysław Dobrzyński

w Warszawie. Chmielna 18, tel. 187-80.

Złota 28, tel. 142-20.

OD WYDAWNICTWA.

„**WIEŚ i DWÓR**“ z dodatkami „**Sport**“ i „**Hodowla**“ wychodzi stale **dwa** razy miesięcznie w początkach i połowie każdego miesiąca przy współudziale liczego grona ziemian i współpracownictwie piór pierwszorzędných. Każdy zeszyt „Wsi i Dworu“ zawiera parę tysięcy wierszy druku i około **100** ilustracji i odbitek na papierze kredowym.

Tak więc Czytelnicy w ciągu roku otrzymają **24** zeszyty wykwintnego wydania, w których, oprócz tekstu, znajdzie się około 2000 ilustracji z wszystkich dzielnic i ze wszystkich dziedzin wsi naszej.

Specjalne dodatki „**Sport**“ i „**Hodowla**“ dadzą w słowie i ilustracji obraz całokształtu hodowli krajowej i rozwoju życia sportowego.

Warunki prenumeraty „**WIEŚ i DWÓR**“

łącznie z dodatkami „**Sport**“ i „**Hodowla**“:

w Warszawie: rocznie	rb. 10 kop. —	z przesyłką rocznie	rb. 12 kop. —
półrocznie	„ 5 „ —	pocztową: półrocznie	„ 6 „ —
kwartalnie	„ 2 „ 50	kwartalnie	„ 3 „ —
zagranicą: rocznie	rb. 14		
półrocznie	„ 7		

Prenumeratę na „**Wieś i Dwór**“ przyjmują urzędy pocztowe, wszystkie księgarnie i biura w kraju i zagranicą i administracja „**Wsi i Dworu**“, **Marszałkowska 129, w Warszawie. Telefon 217-41.**

CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem: 1 strona	rb. 120	Po tekście: 1 strona	rb. 100
1/2 strony	„ 65	1/2 strony	„ 55
1/4 „	„ 35	1/4 „	„ 30
1/8 „	„ 20	1/8 „	„ 16
1/16 „	„ 10	1/16 „	„ 8

Okładka zewnętrzna tylko w całości 150 rb. Ogłoszenia na specjalnych miejscach o 25% drożej.

Wszelką korespondencję zarówno zwykłą, jak rekomendowaną lub pieniężną prosimy adresować:

Administracja „**WIEŚ i DWÓR**“ ul. Marszałkowska 129 (sto dwadzieścia dziewięć) w Warszawie.

Dla uniknięcia omyłek prosimy o dokładny adres.

REDAKTOR: **Tadeusz Jaroszyński.**

WYDAWCA **Bolesław Schoen.**

PIĄTY ROK WYDAWNICTWA.
„DZIEN” GAZETA BEZPARTYJNA.
Pod redakcją Stefana Górskiego.

„DZIEN” reprezentuje kierunek demokratyczny i stoi na gruncie wyraźnie narodowym. Broni kraju naszego przed zalewem żydowskim. Popiera handel i przemysł polski. Stoi na straży ziemi polskiej przed zachłannością niemiecką.

„DZIEN” na rok 1913 ofiarowuje swoim prenumeratorom cenne
BEZPŁATNE PREMIMUM

ATLAS GEOGRAFICZNY EUROPY

złożony z 20 pięknie wykon. w kolorach map i 4 str. tablic statycznych, obrazujących stan militarny, kulturalny i ekonomiczny obecnych narodów.

Atlas zawiera następujące mapy: Ogólna mapa Europy. Królestwo Polskie. Mapa gub. Chełmskiej. Rosja. Rosja zachodnia. Rosja centralna. Rosja południowa. Austro-węgry. Galicja i Węgry. Niemcy. Półwysep Bałkański. Anglja. Francja. Włochy górne. Włochy dolne. Hiszpanja i Portugalja. Szwajcarja. Danja. Belgja. Szwecja i Norwegja.

Mapy zawierają dokładne oznaczenie miast, kolei, granic, gór i rzek.

Atlas, który bezpłatnie otrzymają wszyscy prenumeratorzy „DNIA” przestawia wartość kilku rubli.

Prenumeratorzy, opłacający „Dzień” z góry na rok 1913, otrzymają Atlas natychmiast przy wniesieniu przedpłaty. Prenumeratorzy kwartalni i półroczni otrzymają bezpłatnie Atlas Europy przy uiszczeniu ostatniej raty prenumeratorcyjnej w roku 1913.

„DZIEN” oprócz śmiało pisanych artykułów wstępnych, feljetonów, własnej obsługi telegraficznej i kronikarskiej daje w tekście pisma.

SZEŚĆ TYGODNIKÓW,

poświęconych: prowincji, Litwie i Rusi, nauce, literaturze i sztuce, poloniom polskim, ruchowi spółdzielczemu i rolnictwu.

Prenumerowanie „Dnia” zastępuje trzymanie kilku na raz czasopism.

W „DNIU” biorą udział wybitne siły literackie i publiczne. W odcinkach „DZIEN” zamieszcza oryginalne powieści i nowele.

Adres wydawnictwa: WARSZAWA, WARECKA № 15.

WARUNKI PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rb. 6.60, półrocznie rb. 3.30, kwartalnie rb. 1.65, miesięcznie kop. 55. Za odnośnienie do domu kop. 5 miesięcznie. Na prowincji i w cesarstwie: rocznie rb. 9, półrocznie rb. 4.50, kwartalnie rb. 2.25, miesięcznie kop. 75. Zagranicą: rocznie rb. 14, półrocznie rb. 7, kwartalnie rb. 3.50, mies. rb. 1.20. Zmiana adresu 20 kop.

„Polski Przegląd Kupiecki”

jedyny organ polski, mający na celu omawianie wszelkich spraw, dotyczących naszego handlu i przemysłu.

Redaktor i wydawca:

ALEKSANDER GRANKE.

Wszyscy prenumeratorzy „Przeglądu” otrzymują bez dopłaty dwutygodnik społeczny p. t. „Sвій do swego”, a oprócz tego całoroczni prenumeratorzy otrzymują bezpłatnie, jedynie za zwrot kosztów przesyłki pocztowej, cenne premium: sześć książek z dziedziny handlu wartości podług cen księgarskich około 5-ciu rubli.

Prenumerata łącznie z pismem „Sвій do swego” w Warszawie wynosi rb. 4.— na prowincji z przesyłką pocztową rb. 5.— Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Żórawia 35, tel. 77-21.

Numery okazowe bezpłatnie!

„Sвій do Swego”

Dwutygodnik społeczny i literacki, poświęcony zagadnieniom życia ekonomiczno-narodowego, wychodzi w Warszawie, ul. Żórawia 35, tel. 77-21. Przeplata roczna rb. 1 kop. 80 z przesyłką pocztową.

Redaktor i wydawca:

ALEKSANDER GRANKE.

Numery okazowe na żądanie bezpłatnie.

ROCZNIKI „WIECZORÓW RODZINNYCH” Z ROKU 1912

Nabywać można w księgarni „Polaka-Katolika” Krakowskie-Przedmieście 64

w cenie bez oprawy **4 rb.**

w gustownej oprawie **5 rb.**

W Lublinie przedpłatę na

„Wieczory Rodzinne”

przyjmuje księgarnia Religijna, Królewska № 8.

Druk „Polaka Katolika”, Warszawa, Trębacka 11.